NUMER 27. DNIA 15. LIPCA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

FELIKS GWIŻDŻ.

ŚMIERĆ.

Cicha, jak letnia noc — biała, jak wały gór,
Gdy je przylegną śniegi,
Idzie, jak poszum drzew, — płynie, jak senny [chór
Przez mleczne gwiazd szeregi...

Zanim odejdę z nią, nim wejdę w inny świat,
Z którego już nie wrócę —
Przyjdź do mnie smutku mój, przyjdź bólu moich [chat,
Niech z wami się posmucę.

Przed chatą stoi próg, usiądziem na nim wraz
Wpatrzeni w dno żywota,
Aż się wypełni Los i przyjdzie siwy Czas
I mrokiem mnie omota...

Zanim odejdę cię, o cichy smutku mój,
Snuj się koło mnie, snuj...
A ty, o bólu mój, nim mię zabierze Śmierć,
Głębiej się w serce wwierć...

MARION.

ZEMSTA.

Mikołaj Sergejewicz Woskobojnikow był dyrektorem gimnazjum męskiego i służbistą, to jest urzędnikiem starej daty, nie z tych nowomodnych gołowąsów, co im tylko reformy i krytyka w głowie. Kiedy mu powiedziano: „słuchać“, to słuchał nie filozofując i dobrze było. Przez czterdzieści lat kierował jedyną na całą gubernję uczelnią, niezliczone setki młodzieńców wprawiały się pod jego nadzorem w prawidłowe „udarenja“; trzecie pokolenie już wyprowadzał na świat i z własnych rąk oddawał uniwersytetom, a może teraz z każdej chwili zdać raport przed Bogiem i kuratorem okręgu a choćby i przed samym ministrem oświaty!... I nie zawstydzi się z pewnością!....

Że tam czasem folgował bogatszym, a biednym napomykał, iż raczej by im do radła i kopyta, niż do nauki... i w myśl rad tych starał się ich po ojcowsku na właściwą drogę skierować, utrudniając pozyskanie świadectw dojrzałości... że wreszcie, niekiedy, wziął od tego lub owego tak zwaną brzydko ł a p ó w k ę, to drobnostka, o której mówić nie warto, raz dlatego, że nie wypadało mu się odłączać od solidarności koleżeńskiej ze wszystkimi innymi dyrektorami i inspektorami gimnazjów od Królestwa polskiego, a po drugie, że był urzędnikiem — zaś urzędnik w kraju przywiślańskim nie samymi tylko orderami żyje!...

Ale za to — rzućcie okiem na jego działalność! Uczniowie trzymani byli w karności, jak żołnierze! Żaden przez czas dziewięcioletniego pobytu w gimnazjum nie palił papierosów, nie spacerował z pannami, nie śmiał wyjść na ulicę po siódmej, ani mieć przy mundurze ośmiu gu-

zików tylko, zamiast dziewięciu, które, jak wiadomo, symboliznją imię wielkiej cesarzowej: Ekaterina.

Śpiewali „Kol sławien“ i umieli na pamięć imiona, tytuły i wiek wszystkich członków Domu Panującego, po kolei i na wyrywki... choć w nocy ich obudź...

Zbyteczna dodawać, że cały gmach gimnazjalny, od suteryn do poddasza rozbrzmiewał najpiękniejszą ruszczyzną. Nawet wróble na skwerze przed szkołą ćwierkały jakoś inaczej, jak ich koledzy z ogrodów miejskich. Od częstego zaglądania przez szyby okien nauczyły się prawidłowo akcentować świegot. Tak, że jeśliś się zdrzemnął w tem otoczeniu, miałeś słodkie i zupełne złudzenie, żeś w sercu Rusi prawosławnej.

I śmiało rzec można, że żaden socjalista nie wylągł się pod żelazną dłonią Mikołaja Sergiejewicza! Nie pozwalał na żadne czytania, które tylko niepotrzebne myśli rodzą w młodych głowach. Żadnych książek, żadnych bibljotek, żadnych kółek koleżeńskich!... Masz naukę i dosyć. Za książkę nieszkolną w języku rosyjskim — 48 godzin kozy. Za takąż książkę w języku polskim— drugi rok w tej samej klasie!... Za książkę bez cenzury — nie, tego wypadku nie było dotąd! Przez 40 lat działalności pedagogicznej nie spotkał się z tym czynem występnym, mimo, że sam i sześciu pomocników jego, zwanych pedlami, odwiedzało znienacka uczniów o każdej porze dnia i nocy!

I taki mąż, taki pracownik, taki siewca dostał naraz dymisję!...

Przyszła jak grom z jasnego nieba. Mikołaj Sergiejewicz śmierci by się raczej spodziewał, niż tego, iż mu pewnego dnia ni stąd, ni zowąd, zamiast Anny drugiej klasy, dadzą krzyżyk na drogę, ze słowami: „jużeś niepotrzebny!“...

Zmieniła się polityka, zmieniły się prądy... Nowatorowie, pismacy niedowarzeni, których by prędzej należało zakuć w kajdany i wysłać na Syberję, zaczęli wykrzykiwać, że Mikołaj Sergiejewicz i tacy, jak on, działacze, to policjanci, nie pedagogowie. Że młodzież wszechrosyjska umie wprawdzie na pamięć pół Iljady i całą Enejdę i wszystkich członków Domu Panującego, a królewiacy nadto mówią po rosyjsku w sposób żywo przypominający rozkosze djalektu gubernji Tulskiej lub Tambowskiej, ale z gimnazjów wychodzą same osły...

Osły!... Dymisja!... Wszystko to wstrząsnęło do gruntu systemem nerwowym Mikołaja, syna Sergieja. Świat się chwieje w posadach!... Trzeba ulicą nawet iść ostrożnie, bo kto wie, czy ziemia nie rozstąpi się nagle pod stopą!... Wszystko już teraz możliwe!

Upadł! Z takiej wysokości!... Prawda, że upadł i Napoleon... upadł i Bismark... Ale zawsze... On, przed trzema dniami jeszcze Tytan groźny, na którego widok drżało wszystko w promieniu władzy gubernjalnej, przed którym czapkowano nie gorzej, jak przed samym gubernatorem... on, dziś już emerytem nieszkodliwym... Jak wąż, któremu z zębów jad wyjęto... Jak lew o obciętych pazurach... Jak Samson bez kędziorów!...

Tu kończył się zapas porównań Mikołaja Sergiejewicza... Zresztą w chwili obecnej nie do poezji mu było...

Co będzie z córką, której, z powodu nadmiernego powodzenia między oficerami, bardzo trudno wyjść za mąż? Z czego to ubrać taką panicę, gdy kupcy, mający synów w gimnazjum, przestaną nadsyłać aksamity?... I dalszy ciąg myśli: gdy obywatele ziemscy nie przyszlą owoców, zwierzyny, drobiu... gdy chłopi, w zamian za umożliwienie swym pierworodnym słuchania, iż stworzeni są do radła, nie będą zwozili furek z drzewem, zbożem, kartoflami... A rzeźnicy, piekarze, korzennicy, szewcy, krawcy.... I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej.... Bezczelny naród za wszystko teraz będzie żądał gotówki. Ah, zwarjować!...

Starał się przynajmniej mało pokazywać ludziom. Mieszkał w gmachu gimnazjalnym. Chcąc się wydostać na ulicę, musiał przechodzić przez kurytarz, gdzie się zawsze roiło od uczniów. A nuż któremuś z nich strzeli ochota odemszczenia się za krzywdy swoje?... a nie za swoje, to za kolegów, braci, krewnych... W tym kraju wszyscy są spokrewnieni, a nie było miesiąca, aby Mikołaj Sergiejewicz nie obdarzył kogoś t. z. wilczym biletem, przeważnie za zatargi natury lingwistycznej.

Przytem po Bogu i kuratorze okręgu, bał się ludzi nieszanujących niczego, jakoto socjalistów, nihilistów i anarchistów.... a wierzył niezłomnie, że jeśli który z uczniów ma dwójkę na cenzurze, to przyczyną może być tylko to, iż jest socjalistą.

Czynił więc szybko w pamięci obrachunek dwójek we wszystkich dziewięciu klasach, aby mieć przybliżone pojęcie o nastroju politycznym wychowańców.

Poranek był tak piękny, a ilość dwójek stosunkowo tak nieznaczna, że pozbawiony zajęcia Mikołaj Sergiejewicz nie mógł się oprzeć pokusie przechadzki.

Włożył kapelusz, palto, wziął laskę i zdecydował się wyruszyć na miasto, zajrzawszy uprzednio z ostrożnożcią, czy kurytarz pusty.

Nagle rozwarły się drzwi przeciwległe i jak burza wpadło trzech sztubaków z wstępnej klasy. Popychali i — o zgrozo!... Pierwszy raz od lat czterdziestu rozlegly się na tem miejscu słowa:

— Małecki! nie pchaj się!...

— To ty się pchasz, wątrobo!...

— Ej, bo poska....

Wtem spostrzegli go i zdrętwieli.

Zapomnieli o dymisji, a może i nie wiedzieli... takie dzieci!...

Pan Mikołaj Sergiejewicz stał, miażdżąc ich wzrokiem. Zbudzony lew zerwał się w nim z uwięzi! Już, już otwierał usta, już miał wezwać gospodarza klasy i uwiadomić go o zbrodni tych malców. Mówią po polsku, w gmachu szkolnym! pod bokiem dyrektora!...

Naraz przypomniał sobie.

— Nie chcieli ciebie, usunęli, wyrzucili...

Cała fala tłumionego żalu i gniewu uderzyła mu o piersi. Uśmiechnął się gorzko, pokiwał głową.

I zwróciwszy się do uczniaków, skinął dość łaskawie ręką:

— Owszem... gadajcie sobie, ile chcecie, moje dzieci... gadajcie, gadajcie.

A. Kallas.

JAK SEN...

FRAGMENT DRAMATYCZNY W 1 ODSŁONIE.

(Ciąg dalszy).

IRENA: Wiem... Tracicie zdrowie i cierpliwość i zaciągacie coraz to nowe długi, aby starczyło na wszystko. Ratujecie mnie, a przedłużacie mękę. Przecie to już trwa dwa lata!... Od dwóch lat obchodzicie się ze mną, jakbym była ze szkła; a od dziesięciu dni patrzycie na mnie z takim lękiem, jakby wam kto powiedział, że każdej chwili może się ten sufit zapaść i runąć na moją głowę.

KWIECIŃSKA: Weź lekarstwo. Lekarz zapewnia, że będziesz zdrowa. Dzisiaj dziesiąty czerwca... w lipcu pojedziesz z Bronią do Szczawnicy.

IRENA: A pieniądze...? Pieniądze... skąd?

BRONISŁAWA: To już nie twoja rzecz!

IRENA: Nie chcę. Wy znowu pożyczycie.

KWIECIŃSKA: Wypij lekarstwo... jak mnie kochasz... Iruś... kochasz mnie przecie...

IRENA: O, kocham... kocham was!... Ciebie, mamo, któraś taka dobra i tak wiele już cierpiałaś... tatkę, który pracuje nad siły i Bronię — która — choć szorstka — najgoręcej z nas czuje i najwięcej się kłopoce i najwięcej cierpi. Bo ty, mateczko, masz nadzieję, że będzie lepiej, tatuś... ach, jego krzepi myśl, że spełnia swój obowiązek. Bronia zaś widzi tylko ruinę, ku której się staczamy. Widzi to i kocha mnie i czyni nadludzkie prawie wysiłki, ażebym żyła trochę dłużej...

KWIECIŃSKA: Będziesz długo żyła... zobaczysz... Wypij lekarstwo.

IRENA: Czy cię to uspokoi, mamo, że wypiję łyżkę tej mikstury?... Daj... wypiję... Jeszcze godzina życia... dwie...

BRONISŁAWA: Mamie serce pęka z żalu... Nie masz nad nią litości...

IRENA: A dlaczego wy się tak boicie, jeśli przy was wymówi kto słowo: śmierć. Uczyłaś mnie, mamo, o Bogu, o życiu pozagrobowem; opowiadałaś o raju i niebieskich aniołach. A ty, Broniu, mówiłaś, że to, co my nazywamy życiem i śmiercią, to tylko zmiany coraz to nowych form bytu... Więc czego lękacie się śmierci?... Wszyscy musimy przecie umrzeć.

KWIECIŃSKA: Ale nie teraz... nie teraz, gdyś taka młoda jeszcze...

IRENA: A jeśli życie jest dla mnie męką?...

KWIECIŃSKA: Wyzdrowiejesz. Życie daje nadzieję...

IRENA: Jak wy kochacie życie!... A za co je ty kochasz, mamo?... O, twoje włosy już zbielały... przedwcześnie... A tu... na czole... przy oczach... koło ust... te zmarszczki... te wszystkie zmarszczki, z których każda bólem i troską wyżłobiona.

BRONISŁAWA: Żłobisz je coraz głębiej... Dobijasz matkę, mówiąc do niej w ten sposób.

KWIECIŃSKA: Widzisz... Iruś... takam była szczęśliwa, że już minęło niebezpieczeństwo... żeś zdrowsza... Doktor obiecał dziś, że w pierwszy pogodny dzień pozwoli ci wyjechać na spacer.

IRENA: Czy cierpienie maleje, gdy się z niem oswajamy?... Więc nie czekajcie, aż przytępią się władze waszego odczucia. Życie powinno być wyzwolone z cierpienia i bolu. Dlaczego ludzie nie dążą w tym jednym kierunku?... O, biedna, biedna mamo, coś już tyle cierpiała, że szczęśliwą jesteś, gdy ktoś wskazuje ci złudę nadziei, o którą uczepić możesz obolałe, zmęczone myśli twoje. ...Jak twoje myśli muszą cię boleć... Nieprawdaż, że każda myśl, to jakby robak, co wwierca się w mózg twój... Jedna myśl goni za Stasiem aż do Ameryki. Druga myśl biegnie za Józkiem, który wyjechał do akademji górniczej i zawsze się żali, że za mało ma pieniędzy... Trzecia myśl, najbardziej obolała, krąży około Maryni, której małżeństwo rozpoczęło się idyllą miłosną, a teraz daje przedsmak piekła.

KWIECIŃSKA: Po co o tem mówisz, dziecko moje...

IRENA: Kryjemy jedno przed drugiem myśli nasze. (Po chwili) Mamo... ja nie mogę już na to patrzeć, jak ty cierpisz!... Ty moja droga, kochana, święta moja mamo! (Płacze cicho w ramionach matki i całuje ją, pieszcząc).

KWIECIŃSKA: Uspokój się, Iruś... Przecie ja, w porównaniu z innemi kobietami... samotnemi... Kocham was, Iruś... skarbie mój! Czy można być nieszczęśliwą, mając dobre dzieci i dobrego męża...? Iruś, bądź tylko zdrową, a już nigdy na nic się nie uskarżę.

IRENA: Czy wierzycie w to, że wyzdrowieję?... Przecie nie wierzycie!...

KWIECIŃSKA: Lekarz zapewnia, że jesteś silna, że jeszcze tylko to lato spędzić w Szczawnicy, a później na jesień i zimę do Zakopanego, to już niebezpieczeństwo minie.

IRENA: Zrujnujecie się dla mnie, a ja i tak wnet umrę.

KWIECIŃSKA: Iruś!...

IRENA: Już nie!... Już nie!...

BRONISŁAWA (która wyjrzała na kurytarz): Ojciec wraca...

KWIECIŃSKA: Czy świeci się jeszcze na schodach?

BRONISŁAWA: Zdaje się. Bramy nie zamknęli, bo woda jest już w sieni, na dole.

KWIECIŃSKA: Nie bój się, Irenko!...

IRENA: Nie boję się, mamo. I owszem!... Cieszę się.

KWIECIŃSKA: Cieszysz się?... Czem?...

IRENA: Dobrze tak... Dobrze...

(Dokończenie nastąpi).

DWA WSPOMNIENIA.

Dwie śmierci, dwie straty, dwaj ludzie tak odmienni w poglądach, w metodzie myślenia, a jednak mający tyle wspólnoty moralnej. Obaj reprezentowali „stare, dobre czasy“ uczciwości politycznej.

W Irlandji zmarł Karol Owen O'Conor Don, z rodziny O'Conorów w Connaught, z rodziny dawnych królów irlandzkich, a raczej *riów* celtyckich. To też rodzina zmarłego nazywa się The O'Conor Don—ten O'Conor Don. Ojciec zmarłego, Denis O'Conor Don był pierwszym posłem katolickim z Irlandji. Syn odziedziczył po ojcu i mandat poselski i umiarkowanie polityczne, nieraz dochodzące do niewidomej zachowawczości, niewidomej, bo nie umiejącej ani widzieć potrzeb nowych, ani słyszeć głosu skargi sprawiedliwej przy odgłosie szczęku broni. Młody O'Conor Don przyłączył się do ruchu narodowego, na czele którego stał Izaak Butt, twóca partji *home rule* (samorządu krajowego). Kiedy atoli ruch narodowy zlał się z ruchem agrarnym, O'Conor Don porzucił szeregi partyjne i nawołując do porządku, złączył się był z wrogami Erinu, z unionistami.

Nie trzeba wszakże przypuszczać, że O'Conor Don nie uznawał interesów dzierżawców lub klas pracujących. Był on nieraz członkiem komisyj królewskich i zawsze oświadczał się za prawodawstwem pracy i za oświatą ludową. Tradycja *riów* ciężyła nad jego umysłem; nie pojmował wcale, że dzierżawcy sami ujęli w ręce sztandar, którego riowie obronić nie umieli. Nie pojmował zaś tego nie ze złej woli, albo z pychy, ale dlatego, że nie przyznawał, by w walce rozlegały się uderzenia nieprawidłowe i nieobmyślane — jak zamachy agrarne.

Kiedy O'Conor Don wystąpił z frakcji narodowej, dzierżawcy nie zrozumieli, dlaczego on

ma pozostać dla nich tym O'Conorem czczonym i odebrali mu mandat poselski. Dopiero, gdy Erin otrzymał samorząd administracyjny, zmarły poseł wrócił do pracy publicznej i to z poparciem stronnictwa narodowego, które w ten sposób wyrazić chciało uznanie jego uczciwości politycznej i obywatelskiej.

O'Conor Don był w oczach angielskich typem „Celta chłodnego“, natomiast upatrywano krewkość osobliwą u Sir Wilfrid Lawson'a, wodza angielskiego ruchu wstrzemięźliwości, który zmarł w 77 roku życia i po 40 niemal leciech szermierki parlamentarnej. Lawson należał do najlepszych i najdowcipniejszych mówców angielskich, a jednak był to człowiek niezmiernie „starych czasów“, starszych nawet od wieku, w którym się urodził.

Purytanin z wiary, purytanin ze sposobu myślenia, purytanin w polityce — Lawson zatrzymał jednak humor jako spadek rodzinny, by dowcipem, jak mieczem, utorować drogę agitacji wstrzemięźliwości, dotychczas wyśmiewanej jako postaci ponurej w gmachu prawodawczym. I Lawson spopularyzował ruch do rozmiarów przedtem niebywałych. Od 1868 roku był on stale wybieranym aż do 1900 roku, kiedy jako „przyjaciel Boerów“ stracił mandat, który odzyskał w dwa lata później. Przed 1868 był on również posłem od 1859 do 1865 roku.

Lawson nie należał do polityków, jeżeli pod tem mianem rozumieć posłów, którzy względy taktyczne stawiają ponad zasady. Nieugięty, prawdomówny uważał on zawsze za obowiązek swój wypowiedzieć wszystko, co myśli. Często był on raczej kaznodzieją, aniżeli prawodawcą i jednostronnością swą zrażał nawet przyjaciół, wprowadzał w kłopot nawet sojuszników. A jednak pozostał na swem stanowisku poważany przez wszystkich swych kolegów, nawet przeciwników politycznych, i uwielbiany przez swych wyborców, których nieraz nużył i dręczył.

Czczono w nim człowieka zasad i uważano, że taki właśnie człowiek jest pożyteczny i niezbędny w kuźnicy prawodawczej, z której niezawsze metal czysty wychodzi. Tylko w 1900 roku, tylko w szale szowinistycznym wyrzekli się go wyborcy, by potem uderzyć się w piersi i wołać „nasza wina“.

Parlament angielski ma to wyjątkowe szczęście, że wyborcy wyćwiczeni tradycją tylowiekową umieją kierować się taktyką parlamentarną przy jednoczesnem uznaniu oddawanem zasadom — nawet, gdy są jednostronnie głoszone. Jeżeli Lawson nie miał twórczości żadnej w życiu prawodawczem — wywierał on stały wpływ dodatni zarówno na kolegów, jak i na wyborców.

Stanisław Mendelson.

Z ZA KRATY.

LUŹNE KARTKI.

(Ciąg dalszy).

12. czerwca. Miałam dziś wielką przykrość. Chodziłam po podwórzu kobiecem, jak zwykle; na podwórze to wychodzą okna więźniów politycznych, czasami, mimo usilnej straży, mieszkańcy parteru rzucają mi przez kratę „dzień dobry“ lub parę słów pozdrowienia, naturalnie na tem nasza rozmowa się kończy. Dziś rozdałam dzieciom cukierki i chodziłam zamyślona, gdy wtem spostrzegłam, iż Wacek kocim ruchem podbiegł do strażnika i wsunął mu coś do ręki. Zadrżałam, widząc, iż strażnik rozwinął kartkę, przeraziła mię myśl, że może który z więźniów rzucił mi jaką kartkę, a jam jej nie dojrzała. Wacek spostrzegł, iż patrzę na niego i w tej chwili schronił się do sieni do Piwońskiego. Przez cały czas mego spaceru nie wyszedł stamtąd. Niepokoiło mię to, co za kartkę dostał strażnik, ale wstrząsnęła mną cała ohyda postępku Wacka; więc ten chłopak, dziecko takie już nas szpieguje i całując po rękach, łasząc się o cukierki, spełnia służbę wobec policji.

Strażnik czytał kartkę, potem zawołał drugiego, rozmawiali ze sobą długi czas i w końcu nadszedł trzeci: zabrał kartkę i poniósł ją do kancelarji. Wróciłam strasznie wzburzona do siebie,

jeszcze jedna ohyda więzienna odsłoniła mi się; więc te dzieci w przyszłości nie tylko złodzieje, fałszerze, ale i szpiegi. Piękna przyszłość.

13. czerwca. Myśl o Wacku męczy mię od wczoraj, postanowiłam zbadać sama, czy on jest już na usługach policji, czy też może policjant, dojrzawszy kartkę, kazał ją sobie podać. Napisałam kartkę po niemiecku, wypisałam najbezsensowniejsze zdanie z Ollendorfa, n. p.: „czy masz pan lichtarz sąsiada, czy serce mego osła“ itp. zwinęłam kartkę i wsunęłam ją do kieszeni. Idącą na spacer, na podwórzu otoczyły mię, jak zwykle, dzieci; dając im karmelki, upuściłam niby wypadkiem kartkę z kieszeni. Widziałam, że Wacek ją dojrzał, ale nie podniósł, stał tylko, patrząc w nią pilnie. Wzięłam za rękę Izabelę i odeszłam w drugi kąt podwórza. Wacek w jednej chwili skoczył, przejrzał sam, mimo, iż czytać nie umie, porwał ją i poniósł do Piwońskiego; ten napróżno ją czytał, zawołał drugiego, i tego umiejętność nie wiele była większą, poniósł ją więc zaraz do kancelarji. Gdyby mię nie zmartwił postępek Wacka, śmiałabym się serdecznie z głupich min strażników; wyglądali na dyplomatów, którzy nić intrygi politycznej złapali, ale w danej chwili zmartwienie nie dało mi się śmiać; więc to dziecko jest szpiegiem, robi to zręcznie i z zamiłowaniem. Nie doczekałam się końca półgodziny, i wracałam do siebie, dzieci przybiegły więc żegnać: „a jutro pani sekretna, wołały, przyjdzie do nas?“.

— Tu na nasze podwórze — mówiły Mania i Izabelka.

— I cukierki pani przyniesie? — rzekł Wacek.

— Tak — odrzekłam — przyniosę cukierki dla dzieci, ale dla ciebie nic nie będzie, jesteś zły, brzydki chłopak.

Ognie wystąpiły mu na twarz, cofnął się.

Co robić, by to dziecko ratować i czy jest na to sposób?

15. czerwca. Przez dwa dni szukałam sposobności, by się zobaczyć z matką Wacka, ale napróżno; powiedziałam więc Wilskiej o całej sprawie, przebywają one w jednej celi, łatwo więc rozmówić się mogą ze sobą. Wilska robi na mnie wrażenie inteligentnej dziewczyny, bardzo często widuję ją na podwórzu, gdyż p. Julja każe jej dnie całe spędzać na powietrzu z małą Irenką, wątpię jednak, czy cokolwiek uratuje to biedne dziecko, codziennie jest słabsze. Poza Wilską widuję inne kobiety, znam niektóre, matkę Izabeli, Skrzydlakówna miłą jest w obejściu, za to matki Mani, Kuszelskiej, nie lubię; chytre i chciwe ma oczy. Słyszałam, jak dziś szeptała córce, by poprosiła mnie o cukierek, mimo, iż wiedziała, że dając innym dzieciom, dałam i jej. A matka Zosi i Marychny, jakaś zabiedzona chłopka gdzieś z pod Będzina, na pół ogłupiałe stworzenie. Jest tu kilka cyganek, i te ogromnie są przykre swym brudem i niechlujstwem. Widząc, iż daję dzieciom cukierki, siadają mi zwykle gdzieś na drodze ze swemi półnagiemi dziećmi, i głośno utyskują nad niemi.

Nie wiem, czy między więźniami są Don Juani, ale zalotnic widzę sporo. Wilska stanowi prawie wyjątek, jest tak ładną i wdzięczną, iż wszędzie musi zwrócić na siebie uwagę, nigdy jednak nie widziałam, by na którego strażnika spoglądała zalotnie, za to inne nie gardzą wszelkimi środkami, by zwrócić na siebie uwagę tak strażników, jak i więźniów, przebywających na podwórzu od czasu do czasu. Niektóre robią to z ogromnem wyuzdaniem i nieraz dostają surowe napomnienia od p. Julji.

Dziś podeszła do mnie nieznajoma mi dotąd kobieta i odrazu zaczęła.

— Tu, w więzieniu, to kto wie, co za naród jest. Większa część to niewiele warte, nie ma wprost z kim żyć, mówiła, a widząc, iż milczę, ciągnęła dalej: pani może nie wie, co to za kobiety, ot! Boże pożal się, prawie wszystko panny i to z dziećmi, ot i matka tej Izabelki, co to z panią chodzi, to też panienka, i co to porządnego.

— A pani co tu robi? zapytałam z uśmiechem, ubawiona jej surową cnotą.

— Ja, moja pani, rzekła mała kobiecina, ujmując się w boki, ja jestem porządna kobieta, miałam syna, biedny mój chłopak już byłby taki, jak Wacek, ale wiosną zadusiło go, chorowało mi biedactwo tylko parę godzin. Doktor przyszedł, spojrzał i powiedział, że niema rady, umrze, bo trzeba robić operację, a więzienie nie daje na to kosztu, i tak zostałam sama jako palec, a przecie jam porządna kobieta, mężatką jestem, dodała z godnością.

— Jakże się pani tu znalazła?

— Przez mego męża gałgana; on, proszę łaski pani, nie chciał iść na tę wojnę i uciekł do Ameryki, zostałam sama z dzieckiem, chleba nie było, żyć nie było z czego, no i tak mi przyszło, to z łaski tego łotra.

— Za co pani łaje swego męża, rzekłam, kiedy on nic tu nie winien. Jakby poszedł na wojnę, to również zostalibyście bez pomocy i opieki. W dodatku, mógłby wrócić kaleką i nieszczęście byłoby większe, w Ameryce może zarobić kawałek chleba i jeszcze panią tam zabrać i będziecie szczęśliwi; on bardzo dobrze zrobił, że uciekł.

Spojrzała zdumiona.

— A bo to być może? rzekła, to pani tak myśli na prawdę?

— Naturalnie i gdybym była na jego miejscu, zrobiłabym to samo, a pani, jak stąd wyjdzie, to niech się weźmie do jakiej pracy i uczciwie na chleb zarabia, aż mąż do siebie ją zabierze. Odeszła, kręcąc głową, wszystko to wydawało się jej takiem nowem.

18. Czerwca. Miałam list od Ewy i wiem już, iż niedługo odemkną się wrota więzienne; wszystkiemu na świecie musi być koniec. Teraz żal mi ogromy tych ludzi, co tu siedzą całe lato, przed kilku dniami dowiedziałam się, iż mój sąsiad z lewej strony siedzi już sześć miesięcy, a ma przed sobą dziesięć lat ciężkich robót, miałam widocznie przeczucie, iż on najbardziej cierpi, rozumiem też jego nocne chodzenie po celi. Jakże bardzo chciałabym mu ulżyć, jak bardzo chciałabym mu okazać moje współczucie. Nie wiem nawet, jak on wygląda, spotykam bardzo wielu więźniów na podwórzu, mimo starań strażników, widujemy się zdala, pozdrawiamy nieraz, ale nie wiem wcale, który jest w jakiej celi. Ewa pisze naturalnie niejasno, ale dla mnie wyraźnie, iż wojna trwa dotąd, że trzech admirałów wziętych jest do niewoli japońskiej, więc krew się dalej leje, i panowanie ciemnoty nie kończy się, może jednak, jeśli wojna potrwa dłużej, to nastąpi przewrót i więźniowie polityczni odzyskają swobodę, obecnie nikogo nie wywożą, mówił mi to niedawno Piwoński, więc i temu biedakowi może niedługo wróci słońce swobody.

Ogromna dziś radość panowała na podwórzu. Ucieszona nadzieją prędkiej swobody, prosiłam p. Julię, by kupiła dziatwie rozmaite zabawki, przyniosła mi więc różności: torebkę, piłki, lalki, bat i t. p. Włożyłam to wszystko do pudełka i zaniosłam dzieciom, trudno opisać ogólną radość i zachwyt, nawet strażnicy cieszyli się tym widokiem. Mania i Izabelka dostały po lalce, Mania głośno objawiła swą radość, Izabelka zbladła, przytuliła lalkę do piersi i chwilkę stała w milczeniu, poczem skoczyła do mnie i zawołała:

„Ja pani Bozię dam“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Marja Konopnicka: Głosy ciszy. Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków G. Gebethner i Sp. 1906.

W ciszy już, w zasłuchaniu w siebie samą, dobija do brzegu Marja Konopnicka. Czasem rzuci jeszcze z swej łodzi młodzieńcze wezwanie do boju, natchnie nadzieją, głęboką swą wiarą w moc słońca i jego zwycięstwo nad mrokami utwierdzi i w nas tę wiarę, to znów załkacze rzewnemi łzami, owinie się w mgłę nieutulonego smutku. „Duch się jej z wojny spieszy do mogiły, gdzie kwiat spokoju.“

I czyli pójdzie dalej, czyli się zostanie, siew rzuca na swą grzędę, iżby zakwitła wiosna i pola orane runiały kłosem na chleb, którego poetka „pożywać już nie będzie.“

Jest więc dalej tą samą. Sieje, by inni zbierali i w tem jej wielkość posłannicza.

„Głosy ciszy“ są pieczęcią, dokumentującą dotychczasową twórczość autorki „Pana Balzera.“

Fel. Gw.

Juljan Nowakowski: Na ofiarnym stosie, powieść. Lwów, 1906.

Powieść ta, bardzo pod względem techniki słaba, odznacza się szlachetną, demokratyczną tendencją i wiernymi opisami stosunków wśród nauczycielstwa ludowego w naszym kraju w ostatnich dziesiątkach lat, aż do czasów dzisiejszych. Wśród nauczycielstwa wzbudzi ona zapewne szersze zainteresowanie, nadaje się też do czytelń ludowych. *Kr.*

Anatol France. Wybór Pism. VI. Tais. Tłum. Jan Sten. Polskie Tow. Nakładowe. Lwów. 1906. Księgarnia Polska.

Pafnucy bogaty, szlachetnego rodu, Aleksandryjczyk, pod wpływem chrześcijanizmu wzgardził młodem życiem i rozkoszami, „rozdał przeto majętności swoje“, — a oblókłszy włosienicę, w ascezie, w rozmyślaniach pędził na pustyni żywot świątobliwego mnicha. Pod popiołem została jednak iskra, od której niebawem poczęło gorzeć wyschłe bezczynnością i jałowym fanatyzmem serce. Dużo posiadał był kobiet Pafnucy — jednej przecie najpiękniejszej nie zaznały jego ramiona. A do tej właśnie wiodła go pierwsza praw-

dziwa tęsknota, gdy nagle chrześcijanizm przełamał kierunek jego myśli. I oto teraz, gdy wciąż rozpatrywał i wciąż potępiał przeszłe życie swoje, wspomnienie wspaniałej kurtyzany, hetery i artystki cyrkowej, która całą Aleksandrję poiła szałem miłości, poczęło nachodzić celę pustelnika i rzucać nieodparty czar na żyzną glebę gorącej, młodej krwi. Długo, lecz nadaremnie, odpędzał pokusę. Wreszcie znalazł poświęcaną przepustkę dla wspomnienia Taidy, (tak się zwała), by wprowadzić ją w kościół pobożnych swych dumań. Ochrzcił pokusę mianem bożego nakazu; że to znać Bóg zleca mu wyrwać z objęć czarta owieczkę i obrócić ją oczyma na niebo. Nie uchylając się takiej misji, owszem podjąwszy ją, idzie Pafnucy do Aleksandrji. Tam trafiwszy na sposobne okoliczności, spełnia swe przedsięwzięcie i odwodzi Taidę od grzechu, nakłania ją do spalenia wszetecznych bogactw i oddaje w opiekę zakonu mniszek. Dokonawszy dzieła, wraca do swej samotni. Ale prędko zaludnia się samotnia djabelskimi głosami; to odnowa wrażeń powleka zapomniane przeżycia lśniącym omamem lubieżnych powabów. Pełzną jak wąż tysiącznymi skrętami barw i kuszą strasznie zgłodniałe oczy i ciało. A Pafnucy źle się broni. Zamiast przed groźną zgrają pożądań zaprzeć wrota niepamięcią, pracą i modlitwą — on zrazu dopuszcza je, by sycić świętość swoją rozpamiętywaniem tryumfu nad niemi — jednorazowego tryumfu! Wreszcie spostrzegł się i jął się biczowania i wzmożonej ascezy, zapóźno jednak, bo już tak nawykł do tych myśli, tak się one zespoliły z fantazją jego i nabrały tyle cech plastyczności, że każde, jakąkolwiek drogą, w jakimkolwiek celu wywołane podniecenie musi im nadać pełnię ciała. Tak się też dzieje. Senną halucynacją plami Tais łoże mnicha. Zrozpaczony Pafnucy porzuca zdobytą przez czarta pustelnię swoją, — ucieka w głąb pustyni, szukając łaski bożej i bożego głosu, któryby mu wskazał sposób walki oraz pokutę. Aż w końcu zdaje mu się, że znalazł. Obiera sobie za pobyt kapitel kolumny jakiejś starej, zrujnowanej, egipskiej świątyni. Atoli rychło wieść o świętym słupniku rozchodzi się legendą po okolicy. Wnet otaczają kolumnę cuda i miasto pątników. Zrazu mniema Pafnucy, że to znak łaski, ale, gdy go pożądania mimo szalonych umartwień wciąż nagabują, a pewnej nocy czart „we własnej swej osobie“ staje przed nim zjawą, uchodzi i stąd. Chwilowe asylum dla wstydu, dla rozpaczy daje mu opuszczony grób egipcjanina, ale i tu wdzierają się wizje Taidy. W malowanej na ścianie grobowca teorbanistce upatruje przedwiekowe wcielenie Taidy. Obraz ten wabi go — a nocą schodzi ze ściany i zaściela kamienny głaz, na którym mnich krzyżem się kaja, kobiecem ciałem. Po ostatni ratunek udaje się do świętego Antoniego. Tam proroctwo „prostaczka Pawła“ spada nań gromową wieścią o potępieniu jego przed obliczem Boga i o tem, że Tais, jako święta, umiera. Tyle cierpień, tyle walki napróżno! — a „Tais umiera!“ — ta jedna myśl wyłącznie go teraz opanowuje. Klnąc potępieńczo niebo, z piekielnem pożądaniem, z bolem w sercu zdąża co sił do owego zakonu, gdzie schronił był Taidę. Przybywa zapóźno i nadaremnie.

Taki jest szkielet tej przepysznej powieści. Całej jej subtelności i bogactwa w krótkiem streszczeniu oddać nie sposób.

Pewne mniejsze niedomogi dzieła płyną, zdaje się z tego powodu, że zakrojone było ono raczej na nowelę, tymczasem przekroczyło ramy jej znacznie, a przekroczyć musiało, bo zarówno psychologja osób, jak fakta wymagały obszerniejszego traktowania tła epoki. Autor znał je dobrze, upodobał sobie w niem i chciał je pokazać, jednak przymus kompozycyjnych względów zatrzymywał pióro, więc tylko szkicowo albo okruchami dorzucał potrzebne uzupełnienia. Pomimo to książka urosła a artystyczna wstrzemięźliwość autora uszczupliła nam istotnych przyjemności. Stąd np. psychologja samej Taidy i jej nawrócenia przeprowadzona jest dość pobieżnie, jakby rysunek znaczony punktami. Także uczta wypadła blado. Lecz to są rzeczy mniejsze. Główniejszy błąd tkwi w psychologji Pafnucego; ma ona niebezpiecznie jednostronne hasło przewodnie: prawo krwi i ciała, hasło: „Wenera mści się“. Zapewne sprawa ta w przeważnie temperamentowym i uczuciowym Pafnucym przeważną grała rolę — wszelako nie należało mniej brać w uwagę procesów myślowych, które, acz drugorzędnie, niemniej toczyły, jak czerw, świętość jego. Zapewne Pafnucy był fanatykiem, Pafnucy był wyznawcą zasady: „credo, quia absurdum est“ i „crede, ut intellegas“ — ale ten sam Pafnucy znał filozofów pogańskich, ten sam Pafnucy rozmyślał wiele i wciąż, chociaż naiwnie. Trzeba więc było szerzej opracować ową bitwę z wątpliwościami, które podczas kaźni żądzy stawały w obronie buntującego się ciała, a które nieustanną pracą tak nadwątliły wiązania religijnych konstrukcyj Pafnucego, że każde niespodziane wstrząśnienie uczucia musiało się skończyć katastrofą. Takie postawienie psychologji Pafnucego i ułatwiłoby autorowi traktowanie tła epoki (konieczne zresztą) i związek uczty z całą treścią nie byłby tak luźny (lecz istotnie ważny, ze względu na reminiscencje, jakie rozprawy, prowadzone przy biesiadzie, pozostawiły w umyśle Pafnucego), a wreszcie, co przedewszystkiem, nie potrzebowałby się autor dla rozwiązania powieści posiłkować wątpliwej wartości efektem proroctwa. Oczywiście, samo przez się zrozumiałe, że i ogólna wartość książki podniosłaby się znacznie. To nie wystarczająco poważne traktowanie psychologji Pafnucego okupuje France (o ile takie rzeczy okupić można) dowcipem, wykwintem i czarodziejsko subtelną plastyką stylu. Skutkiem owych zalet, jak również skutkiem widocznej wszędzie świetnej obserwacji, wielkiej mądrości życiowej i wysokiej kultury intellektualnej autora jest to, że ta i inne książki France'a wskrzeszają w nas dorosłych miły, znany urok pewnych książek dzieciństwa naszego, które pragnęło się kiedyś, aby nie miały końca.

Nie należy wprawdzie „Tais“ do dzieł, które są ostrowidztwem myśli ludzkiej, i które wypełniają przepaść najistotniejszych zamilczeń między duszami ludzkiemi — ale przerasta o wiele utwory uznanych półwielkości naszych. Pisał ją w każdym razie człowiek — hominem non ignorans.

Ad. Z.

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ“ we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.